

Love is in the air Everywhere I look around Love is in the air — romantyczna

Od autora: * Miłość jest w powietrzu, wszędzie wokół, gdzie spojrzę, miłość jest w powietrzu – fragment tekstu piosenki Love is in the air - Johna Paula Younga

Z cyklu: Zgorzkniałość młodej panny – część VII

Z dedykacją dla Wiktorii w podziękowaniu za pomysł na tytuł rozdziału ;)

Zima zbliżała się wielkimi krokami wylatując z ust w postaci białawych obłoczków. Poranki straszyły szronem i przenikliwym chłodem, z którymi niemalże nikt był w stanie się porozumieć. Na horyzont wychynęły głodne wiewiórki, ich gęste kity od czasu do czasu migały przez zmęczonymi oczami. *Rudy to nie kolor, rudy to styl życia* – powtarzała moja „przyjaciółka na całe życie”. Straciłam z nią kontakt po skończeniu liceum, kiedy to wyszła za mąż i porzuciła obietnice wspólnych rozmów i spotkań po latach.

W bezduszne, pozbawione ciepła dni najbardziej solidaryzowałam się z grzejnikiem. Tylko on potrafił wyimaginarować klimat lata. Co prawda nie był najlepszą motywacją dla zgnuśniałych mięśni, ale dawał radę w kwestiach grzewczych.

Jednym z moich największych egzystencjalnych problemów był przymus palenia w piecu (oprócz kupna niebotycznie drogiego węgla). Całą sobą nienawidziłam tego robić, w obawie, że diabelstwo zwane piecem wybuchnie jeśli tylko odwrócę wzrok. Niestety okoliczności zmusiły mnie do zabawy z ogniem, choć nigdy nie przejawiałam piromańskich skłonności. Samotność nie była wyborem, oczywiście mogłam wmawiać sobie tę mrzonkę bez końca, co nie zmieniało faktu, że nie czułam się dobrze w jej obecności, zwłaszcza gdy nawiedzał mnie idący z nią w parze przymus radzenia sobie. Szczęśliwym trafem Aleks jednak na coś się przydał. Do tej pory myślałam, że nigdy nie pobrudziłby sobie rączek pracą fizyczną, jednak jego mina kiedy napomknęłam o paleniu w centralnym, szybko i skutecznie wyprowadziła mnie z błędu. Wyglądał jak mały chłopiec, który właśnie dostał pod choinkę wymarzone klocki lego. Mimo wszystko istniały kwestie, w obrębie których potrafiliśmy się dogadać. Być może było ich niewiele, ale zawsze.

Z kuchni płynął boski zapach indyka mający oddać hołd Świętu Dziękczynienia, które Aleks uparł się obchodzić. Nie miałam nic przeciwko, zwłaszcza że sam zaoferował kucharzenie i kelnerowanie. Ja jedynie pielęgnowałam podniebienie na wygodnej kanapie przed telewizorem wpychając w skurczony żołądek orzeszki ziemne i popijając napój alkoholowy pełniący funkcję aperitif, jak wyjaśnił Aleks. Cudowna mieszanka anyżowa – sporządzona na bazie destylatów i olejków miała wzmocnić apetyt przed jedzeniem, jakby co najmniej było mi to potrzebne do szczęścia.

Odkąd współlokator zaczął pichcić dla nas dwojga, oprócz pojęcia *Before Dinner*, które zawitało w moim słowniku, wybredne smaki obrały zupełnie inny kierunek. Nienawiść do szpinaku przerodziła się w najszczerzą, bezwarunkową miłość, ale tylko w wydaniu: „*Aleks gotuje*”, gdzie zielenina nie wyglądała jakby ją ktoś zżuł i wyrzygał.

Kiedy postawił przede mną talerz, na którym, mogłabym przysiąc, ujrzałam żywą wiosnę, z wrażenia rozdziawiłam gębę. Przez moment próbowałam odgadnąć na co się gapię jak ciele w malowane wrota, jednak szuflady mojej wyobraźni zamykały się przy kalafiorze, szpinaku, ryżu, mięsie i czymś czerwonym, co wyglądało jak pomidor.

- *Bon appetit* – rzekł Aleks widocznie zadowolony ze swojego dzieła.

Na kolanach starannie położył czystą serwetkę. Który facet tak robi? Biorąc pod uwagę zachowanie mężczyzn, rzeczy zupełnie normalne w ich wydaniu wydają się niemal absurdalne. Tak też było i w tym przypadku. Zakosztowałam dzieła rąk Aleksa i wiedziałam, że będzie fenomenalne jeszcze zanim wpakowałam do ust pierwszy kęs. Danie wprost pieściło podniebienie silnie oddziałując na kubki smakowe. Nie dbając o *savoir vivre* zaczęłam zachowywać się jak jakiś nieokrzesaniec, pośpiesznie ładując jedzenie do policzków. Najwyraźniej Aleks uznał to za dobre widowisko, bo sam przestał jeść i wpatrywał się we mnie z niedowierzaniem jak w pierwszą w życiu malinkę.

- Co? – Zachnęłam się przełykając zbyt dużą porcję, która stanęła mi nadmiarem w gardle.

Natychmiast popiłam pomyłkę wodą i krztusząc się próbowałam złapać haust powietrza.

- Nic, po prostu jestem zadowolony, że ci smakuje – przyznał widząc moje rozdrażnienie wywołane nadmiernym zwracaniem uwagi na pożądaną reakcję.

- Skąd pomyśł, że mi smakuje? Jest okropne! – Ofuknęłam go na żarty, choć w głębi serca pragnęłam, by przestał się gapić, bo czułam narastające zażenowanie.

Nienawidziłam kiedy patrzono na mnie podczas jedzenia. Była to sfera wprost intymna. Zupełnie jakby ktoś chciał wpakować się do mojego łóżka i pocałować w czołko.

- To widać, wyglądasz jak chomik-anorektyk – roześmiał się. – Jedz spokojnie, zaraz będzie deser.

- Czy ty uważasz, że moja dupa nie ma dna? – Spytałam udając urażoną.

- Musisz coś jeść – zastrzegł. – Jesteś strasznie koścista, ile ważysz? – W jego głosie wciąż było słyhać niepokojącą troskę.

- Chyba nie myślisz, że się przyznam? Tylko niech ci nie przyjdzie do głowy mnie tuczyć! Dobrze mi ze swoją figurą. – Chcąc jak najszybciej zmienić niewygodny temat, zapytałam – Gdzie nauczyłeś się tak gotować?

Przez moment wahał się jakby od tej informacji miało zależeć jego życie. Być może właśnie przeprowadzał w myślach selekcję, czy nadaje się na powiernika mrocznej tajemnicy. Po chwili jednak postanowił wplątać mnie w konspirację.

- Rozmawiasz z szefem kuchni. – Nie wiem co bardziej mnie zszokowało – wiadomość jaką mnie uraczył, czy dumny ton, którego użył wypowiadając te cztery słowa.

Znowu udławiłam się potrawą, która najwyraźniej nie chciała ze mną współpracować.

- Co z ciebie za szef, skoro twoje jedzenie staje mi w gardle? – Zażartowałam.

- Ciężko jest gotować dobre dania, jeśli konsumentem są żarłocni ludzie – odciął się, z satysfakcją patrząc jak walczę o każdy oddech. – Daj potrawie szansę na wydobywanie smaku. Wpieprzasz jak stukilowy chłop, a wyglądasz jak chuchro.

- Może mi przynajmniej powiesz co próbowało mnie udusić? – dziobnęłam widelcem czerwony kawałek warzywa. – Pomidor? – Spytałam z powątpiewaniem.
- Marchewka.
- Bezczelna marchewka udaje pomidora! – Im więcej się śmiał, tym większą miałam ochotę na wygłupy.
- Potrawa nosi nazwę *Biryani* i pochodzi z Indii. Zazwyczaj przyrządza się ją z kurczakiem, ale pogwałciłem to prawo roszcząc je sobie do indyka. A dalej idą warzywa jak w tym wierszu Brzechwy.
- A to feler – westchnął seler. – Przy Aleksie powracały do mnie nawet niebezpiecznie piękne czasy dzieciństwa.
- Kurkuma to jest coś, co kocham i z czym się nie rozstaję. – Myślam błędził już daleko gdzieś, gdzie kurkuma rozkwitała na zawołanie. – Podobno jej właściwości poprawiają funkcje poznawcze pacjentów z chorobą Alzheimera. Wpadli na to Japończycy.
- A któżby inny? Co jeszcze dogorywa na moim talerzu? – Chciałam wiedzieć.
- Kolendra, mięta, szafran, kmin rzymski, koper włoski, cynamon – wyliczał, a im większe stawały się jego spojówki, tym bardziej rosła moja ciekawość.
- Z połową się nie znam – przyznałam nie bez wstydu. – Mam nadzieję, że przy tobie nadrobię straty. Coś w temacie zdrowej diety?
- Niestety najzdrowsze produkty często nie wyglądają zbyt zachęcająco – przyznał. – Na przykład tofu – gumowate kostki, najczęściej zastępujące mięso w potrawie.
- A te grzyby przypominające gówno? – Wróciłam myślami do sceny z jakiegoś filmu, gdzie mała dziewczynka wyrzuciła je do kosza myśląc, że to odpadki.
- To trufle, które są najdroższym produktem spożywczym świata, głównie dlatego, że nie wymyślono jeszcze sposobu na ich uprawę. – Poczęstował mnie wzmianką jak Mikołaj cukierkiem.
- Okej, dość nowinek na dzisiaj, mój mózg został przegrzany – spasowałam.

Obserwowałam jak Aleks rozluźnia się na swoim siedzeniu. Jego krótkie włosy, które obciął zaraz przed godnym pożalowania incydentem, okalały młodą twarz. Tłumacząc mi to wszystko, czułam się jak ryba w wodzie. Ja natomiast przypominałam uczniaka, który nie odrobił lekcji. Dziwne jak dzięki dodatkowym informacjom można zmienić zdanie o człowieku, zupełnie jakby klapki tkwiące na oczach nagle opadły. W moim przypadku była to diametralna i niewybaczalna zmiana, bowiem sprzedawałam się za porcję *Biryani*.

Chwila oddechu była wskazana po wpakowaniu w siebie końskiej dawki jedzenia. Być może normalnie odżywiający się człowiek nie miałby problemu z pochłonięciem takiej ilości, ale mój skurczony żołądek płakał rzewnymi łzami. Pogładziłam brzuch, chcąc go uspokoić.

- Ubijaj, ubijaj, zaraz przyniosę deser – zakomunikował Aleks.

- Zlituj się nad nami – wskazałam ręką wydatny brzuch. – Jeszcze chwila, a będę wyglądała jakbym była w ciąży!

- *Creme brulee* nie zna litości. – Zostawiwszy mnie z tą ciekawostką zniknął w kuchennych otchłaniach.

Słuchałam brzęku sztućców i naczyń jak najpiękniejszej muzyki, gdy nagle zadźwięczał dzwonek do drzwi, który zakłócił wewnętrzną zadumę. Nie bez wysiłku podniosłam się z miejsca i ruszyłam w stronę drzwi. Drażniący, przeciągły dźwięk zirytował mnie do tego stopnia, że miałam ochotę coś roztluc. Otarłam drzwi w nadziei, że za nimi ujrzę listonosza, który po wręczeniu przesyłek pozwoli się zwyzywać za nadmierne używanie dzwonka, a potem pójdzie sobie w siną dal, jednak przed moimi oczami niczym fatamorgana stanęła dawna znajoma – Laura. Była to ta sama dziewczyna, która przysięgała mi przyjaźń na całe życie przypieczętowując ją śliną w uścisku dłoni. Może teraz wyglądała nieco inaczej, już nie miała rudych włosów, a platynowe, z widocznymi gdzieś hebanowymi pasemkami. Szybkie spojrzenie wystarczyło, bym dostrzegła jej przeraźliwie podkrążone i spuchnięte oczy oraz ubiór, jakiego mogłaby pozazdrościć osiemdziesięcioletnia staruszka.

- Witaj, mogę wejść? – Spytała nieśmiało i cicho jak myszka.

- Jasne – odrzekłam, choć najbardziej na świecie pragnęłam, by sobie poszła.

Moja naczelna zasada życiowa głosiła, żeby nie odwracać się plecami od ludzi, którzy pod wpływem różnych okoliczności awansowali na stanowisko o nazwie: „chodzące mendy”, ale pokazywać klasę poprzez uśmiech. Ewentualnie wybaczyć, jeśli byłby ku temu dobry powód. Zerwanie kontaktów przy frenetycznych deklaracjach dożywotniej przyjaźni to okrucieństwo w czystej postaci. Ludzie biorąc ślub, często nie zdają sobie sprawy, że po jakimś czasie przestaną sobie wystarczać. A wtedy zazwyczaj budzą się jak z głębokiego snu i spostrzegają, że dookoła nie ma nikogo, z kim mogliby pogadać, a potem dociera do nich fakt, że to wyłącznie ich wina. I wtedy mają za swoje, a najpiękniejsze jest, że wychodzi to samo z siebie i nie trzeba długo czekać.

Wpuściłam ją za próg i zaprosiłam do salonu, który Aleks zaczął powoli uprzątać.

- To jest mój współlokator – Aleks. Aleks to Laura – przedstawiłam ich sobie.

Po wymianie sztucznych uprzejmości nastała niezręczna cisza przerywana jedynie tykaniem naciennego zegara. Zastanawiałam się gdzie mam spoglądać, w sufit, na Laurę, czy różową płamę na stole.

- Może zjesz z nami deser? – Zaproponował z zapalem Aleks pobudzając do życia mój brak wyrzutów sumienia.

- Chętnie – zgodziła się Laura nadmiernie mrugając.

- Dwa desery dla pięknych pań.- Zaanonsował, podczas gdy ja snułam refleksje nad naturalnością, z jaką flirtował.

Jedliśmy w ciszy. Żadne z nas nie wiedziało co właściwie powiedzieć, a nawet czego nie mówić. Ja delektowałam się pysznościami, które tkwiły przede mną w małej, białej miseczce, natomiast Laura miała minę jakby ktoś umarł, kąciki jej ust nieznacznie drgały.

- Jeśli ci nie smakuje, nie musisz jeść. – Nie wiem czym Aleks dopomógł w rozpięderoleniu tamy, jaka

trzymała dziewczynę w ryzach, ale raptownie wybuchnęła spazmatycznych płaczem.

Nie nadawałam się na pocieszycielkę. Nigdy nie potrafiłam wykrzesać z siebie choćby odrobiny współczucia. Użalanie nad sobą też traktowałam jako rzecz niepotrzebną i żalospną. Dlatego kiedy zobaczyłam łzy na policzkach kogoś, kogo skreśliłam dawno temu, nie zagrały we mnie żadne struny żalu. Aleks natomiast położył Laurze rękę na plecach i poklepał ją pocieszająco.

- Jest pyszne! – Łkała. – Tylko mój facet nigdy nie dawał mi wyboru. Musiałam jeść kurewskie krewetki, których nienawidzę! A i tak twierdził, że grymaszę jak małe dziecko.

Ucieszyłabym się gdyby w tym momencie do domu wparował Bob Marley i dźwięcznym, krzepiącym głosem zaśpiewał *No, woman, no cry*. Zamiast tego musieliśmy wysłuchiwać spartaczanej ciszy. Aleks nagle wstał i wyszedł z salonu. Podejrzewałam, że w jego chorej głowie zakwitł niecny plan upicia naszego gościa, bądź znieczulenia przez wstawienie się.

- Może wypożyczysz mi go na jakiś czas? – Spytała z nadzieją w głosie.

- Nie dzielę się z nikim moim współlokatorem – oświadczyłam wszem wobec.

- Nie wiedziałem, że podpisałaś prawo wyłączności – wtrącił Aleks z kuchni.

- Ty go podpisałaś decydując się na zamieszkanie pod moim dachem – uświadomiłam go na wypadek, gdyby sądził, że było inaczej.

Atmosfera trochę zelżała, kiedy cudowne drinki Aleksa zaczęły na nas działać. Laura otwierała przed nami swoje nieszczęśliwe wnętrza. Szczerość wylała się z niej wartkim strumieniem. Opowiedziała o nocach odwróconych do siebie plecami i obowiązkach, które same nie chciały się równo podzielić. Jej małżeństwo było zakalcem pełnym niewypowiedzianych grudek.

- Po co ludzie się hajtają, skoro zaczyna im odpieprzać po ślubie? – Próbowałam to zrozumieć, a że delikatność nie była moją mocną stroną, miałam w nosie negatywne reakcje.

- Lena, ja ci to wytłumaczę na przykładzie... chociażby batona – odparła, a oczy Aleksa rozszerzyły się do niepomiarownych rozmiarów, gdy przypadkiem w końcu usłyszał moje długo skrywane imię – Masz taką zajebistą ochotę na batona i cały czas myślisz tylko o tym, żeby go dorwać i zjeść, przez co ten zamiar wydaje ci się atrakcyjny. Już samo czekanie na rychłą konsumpcję jest bardzo ekscytujące, ale kiedy w końcu pochłoniesz czekoladę, jaką był oblany, robisz się ociężała i chce ci się rzygać, a odkryty środek nie jest już taki pyszny jak mogłoby się wydawać. I żałujesz, że go zjadłaś. Tak właśnie jest z małżeństwem.

Spostrzegłam, że Laura znów popada w przygnębienie. Wyglądała jak pies w schronisku za kratkami, któremu odebrano miłość i prawo wyboru. W związku z tym, że świetne pomysły nachodziły mnie najczęściej kiedy byłam pod wpływem alkoholu, wstałam i pociągnęłam ją za rękę.

- Chodź, mam coś dobrego na twoje smutki – zarządziłam i żaden, nawet najmniejszy sprzeciw nie wypłynął z jej ust.

Zszokowany Aleks pozostał na swoim miejscu, a my przeszłyśmy na tyły domu, gdzie na trzepaku czekał dywan gotowy do wypatroszenia. Pewnym ruchem podałam jej trzepaczkę i poleciłam wałnąć

w persa z całej siły. Na początku zdawała się nie rozumieć gdzie w tym wszystkim tkwił cel i sens. Zwłaszcza, gdy po pierwszym uderzeniu w powietrze uniosły się kłęby sierści.

- Masz kota? – Spytała zdumiona krztusząc się.

- Widzisz, ironią dzisiejszych czasów jest to, że nie trzeba być w posiadaniu kota, żeby mieć jego kudły na dywanie. Nie dyskutuj, tylko wczuj się w nagromadzoną w sobie złość! I wykrzycz wszystko, co cię wkurza! – Ryknęłam, żeby ją bardziej podjudzić. Kiedy jednak zaczęła walić w dywan jak wściekła ma-ma-kangurzyca w napastnika, zaczęłam się niepokoić swoim planem.

- A masz sukinsynu! Krewetek ci się zachciało! A może jeszcze sosiku?! – Śmieci unosiły się nad naszymi głowami jak złowrogie wróżby.

Emocje opadły niczym poranne mgły – szybko i niespodziewanie. Zdyszana i zmęczona Laura w końcu uśmiechnęła się szeroko, przyznając, że zaproponowana przeze mnie terapia dywanowa naprawdę działa. Może powinnam otworzyć własny gabinet terapeutyczny? Połączyłabym przyjemne z pożytecznym – niosłabym pomoc, a przy okazji mój dom lśniłby czystością. Na uspokojenie – mycie okien, na wyciszenie – wycieranie szklanek, na złość i agresję – trzepanie dywanu. Full opcja.

Laura na szczęście zdecydowała, że musi iść. Na nieszczęście zostawiła do siebie numer i obiecała, że będzie mnie trwale odwiedzać, jak rzekła: „Poprawię się”. Ciekawe, że wzajemną sympatię i zaufanie można stracić w jednej sekundzie, ale żeby je odzyskać potrzeba miesięcy, a nawet długich lat. Uczucia nie lubią przebaczać, bo przebaczenie to najtrudniejsza emocja na świecie.

Wykończona towarzystwem, pragnęłam jedynie zamknąć się we własnym pokoju i zapaść w ciepłe łóżko, jednak Aleks przywołał mnie ruchem ręki z powrotem do salonu. Niechętnie powłóczyłam nogami, w razie gdyby nie zauważył mojego zmęczenia.

- Lena, hm? – Cekał na wyjaśnienia zupełnie jakbym była mu je winna.

- Opuść mi – rzuciłam błagalnym tonem.

- Nie zrozum mnie źle, podoba mi się – przyznał szczerze. – Ale czemu akurat tak? – Chciał wiedzieć.

- Oprócz świra na punkcie irańskiej rewolucji islamskiej matka miała fazę na słowiańskie akcenty. Trwało to dość krótko, jednak odbiło się nie tylko na mnie, ale też na połowie wystroju domu. A teraz idę się położyć – zakomunikowałam i ruszyłam w stronę własnego azylu, gdzie słowa Aleksa nie mogły mnie dosięgnąć.

Chociaż powieki ciążyły mi niemiłosiernie, sen uparcie nie nadchodził. Fobie zagłuszały zdrowy rozsądek. Nauczona doświadczeniami odczuwałam przerażenie potencjalnością „uczuć wyższych”.

Zastanawianie się nad własnym losem bytowało jako przekleństwo. Bałam się, że pewnego pozornie pięknego wieczoru nawiedzą mnie wątpliwości, nad którymi nie będę umiała zapanować, albo co gorsza – nie będę chciała. Bałam się, że będzie jak w filmie *Kocha, lubi, szanuje*, gdzie podczas kolacji z mężem na pytanie „Czego chcesz?” i standardowego „Powiedzmy to na trzy cztery”, odpowiedź stanowiła jak Julianne Moore: „Chcę rozwodu”. A mój mąż przybierze minę zbitego szczeniaka, dokładnie taką, jaką miał Steve Carell grający zdradzonego męża. Bałam się, że wraz z partnerem zaczniemy odliczać

czas ilością kłamstw i nielojalności. Albo że będzie mi się chciało rzygać, jak po pieprzonym batonie.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

romantyczna, dodano 03.11.2014 12:00

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.